Sławomir Mrożek. Rozmowa przy kawie o flircie, teatrze i wolności.



Sławomir Mrożek, fot. materiały prasowe.

Anna Maria Mickiewicz *(Londyn)*

Co myślał o swej twórczości i bohaterach sam Mistrz? Oto krótka rozmowa, którą przeprowadziłam tuż po premierze *Letniego dnia* w jednym z londyńskich teatrów. Powinnam dodać, że Sławomir Mrożek niechętnie udzielał wywiadów. Jeżeli do nich dochodziło, stawał się powściągliwy i milczący… Dlatego na spotkanie z dramaturgiem podążałam z dużym zaciekawieniem i niepewnością zarazem… Było to swoiste wyzwanie.

Dzień był wyjątkowo ciepły, słoneczny i wiosenny. Umówiona byłam w godzinach przedpołudniowych w znanej londyńskiej dzielnicy Belgravia, przy Sloane Square. Tuż przy głównym skwerze, wśród licznych kafejek, widniał zabytkowy gmach słynnego teatru The Royal Court Theatre. Po latach został unowocześniony; już z oddali odbijała się w promieniach słońca czerwona płaskorzeźba, znajdująca się na pierwszym piętrze teatru – *notabene* wykonana przez polskiego artystę Antoniego Malinowskiego.

Sławomir Mrożek czekał na mnie w teatralnej kawiarni, usytuowanej w podziemiach. Panowała cisza, twórca był jakby osnuty półmrokiem… To chwile, kiedy teatry drzemią, wypoczywają po wieczornych wydarzeniach. Dramaturg ze spokojem popijał kawę. W takim nastroju, swoistej przychylności,

przebiegała nasza rozmowa…

Anna Maria Mickiewicz:

Czy czuje się Pan czasami jak jeden z bohaterów *Letniego dnia*?

Sławomir Mrożek:

Nie, nigdy, dlatego że pisanie sztuki czy wierszy, powieści to nie jest nigdy autobiografia. Składa się może z elementów autobiograficznych, ale nie jest tak, by pisarz w powieści, czy w swych dziełach opisywał siebie.

Czy *Letni dzień* nie zawiera żadnych wątków autobiograficznych? A jest to sztuka, która w dużym stopniu poświęcona jest anatomii dojrzewania mężczyzny…

No, może częściowo jest…, ale w taki rozproszony sposób i nie ma potrzeby tego udowadniać.

Natomiast bohaterka dramatu to osoba bardzo inteligentna, przewrotna, bystra. Czy tak Pan widzi kobiety?

Należy pamiętać, że żaden utwór literacki nie jest pamiętnikiem

ani świadectwem, ani wyznaniem wiary autora. Kobiety inteligentne istnieją – na szczęście. Zwracano już uwagę na to, że bohaterka tej sztuki jest kobietą ciekawą, nieprzeciętną. Dlatego też ta postać budzi sympatię zarówno widowni, jak i aktorek, które były zawsze zainteresowane graniem tej roli.

Nasuwa się spostrzeżenie; otóż jeden z bohaterów Pańskiej sztuki przypomina bohatera *Fausta* Goethego – odnoszącego sukces, lecz nieodczuwającego życiowej satysfakcji. Czy jest to zbieżność przypadkowa?

Ja nie zajmowałem się określaniem bohatera, jego charakterem, życiorysem. Budowałem sytuację dramatyczną na scenie, czyli taką, w której coś się dzieje i z której coś wynika. Dlatego potrzebne były mi dwie kontrastowe postacie. Jest to może bardzo schematyczne, ale skuteczne, bo pozwoliło mi napisać sztukę, która funkcjonuje dobrze na scenie. Nie jest to duża sztuka, ale dobre i to.

Czy angielska wersja teatralna *Letniego dnia* sprawiła Panu satysfakcję i zadowolenie?

Każde przedstawienie mojej sztuki sprawia, że czuję się dobrze… Nie dlatego, że jestem autorem, tylko dlatego, że po prostu lubię teatr. Jeżeli zdarza się, że jestem autorem danej sztuki, tym lepiej.

Czy wczorajszy spektakl miał jakieś szczególne cechy, a może jakieś braki?

Trudno powiedzieć. Jeżeli teatr jest poniżej pewnego poziomu technicznego, zawodowego, to zapewne tak jest. Ale nie w tym przypadku. Każde przedstawienie jest inne. W danym kraju, mieście, ta sama sztuka może mieć różne interpretacje. Nawet grana w tym samym teatrze – każdego wieczoru jest inna. Dlatego teatr jest żywy, przedstawienie jest faktem teatralnym, dlatego trudno jest rozmawiać o jego niedostatkach.

Pańska sztuka jest bliska mentalności brytyjskiej, dużo w niej logicznej gry słów z wieloma podtekstami; uderza mówienie o smutnych rzeczach z humorem.

To nie musi być tylko brytyjskie, to może też być czeskie. To swego rodzaju skłonność do niedopowiedzenia – *understatement*, które jest rzeczywiście również cechą brytyjską.

Jaki powinien być teatr – smutny czy wesoły?

Teatr powinien być taki, aby publiczność nie wyszła z sali po pierwszych pięciu minutach. Jak się to uda, to już jest dobrze. Dlatego uważam, że teatr powinien bawić publiczność.

W latach sześćdziesiątych Pańskie sztuki budziły

zaciekawienie wśród publiczności polskiej. Jednak wówczas nie zawsze były rozumiane, sprawiały wrażenie dziwnych.

Na pewno te same sztuki nie budzą już dzisiaj zdziwienia, ponieważ pojawiły się nowe sposoby przedstawiania dramatu, które są jeszcze bardziej dziwne. Nie sądzę, by na przykład *Szczęśliwe wydarzenie* prowokowało dzisiaj podobną reakcję, jak trzydzieści lat temu. Z drugiej strony, nie wiem, jak było wówczas, gdyż nie byłem obecny w kraju przez ponad trzydzieści lat. Dlatego też trudno mi powiedzieć.

Kontynuując wątek. Pańskie dramaty są bardzo przewrotne. To swoista zabawa słowem…

Dlaczego przewrotne?

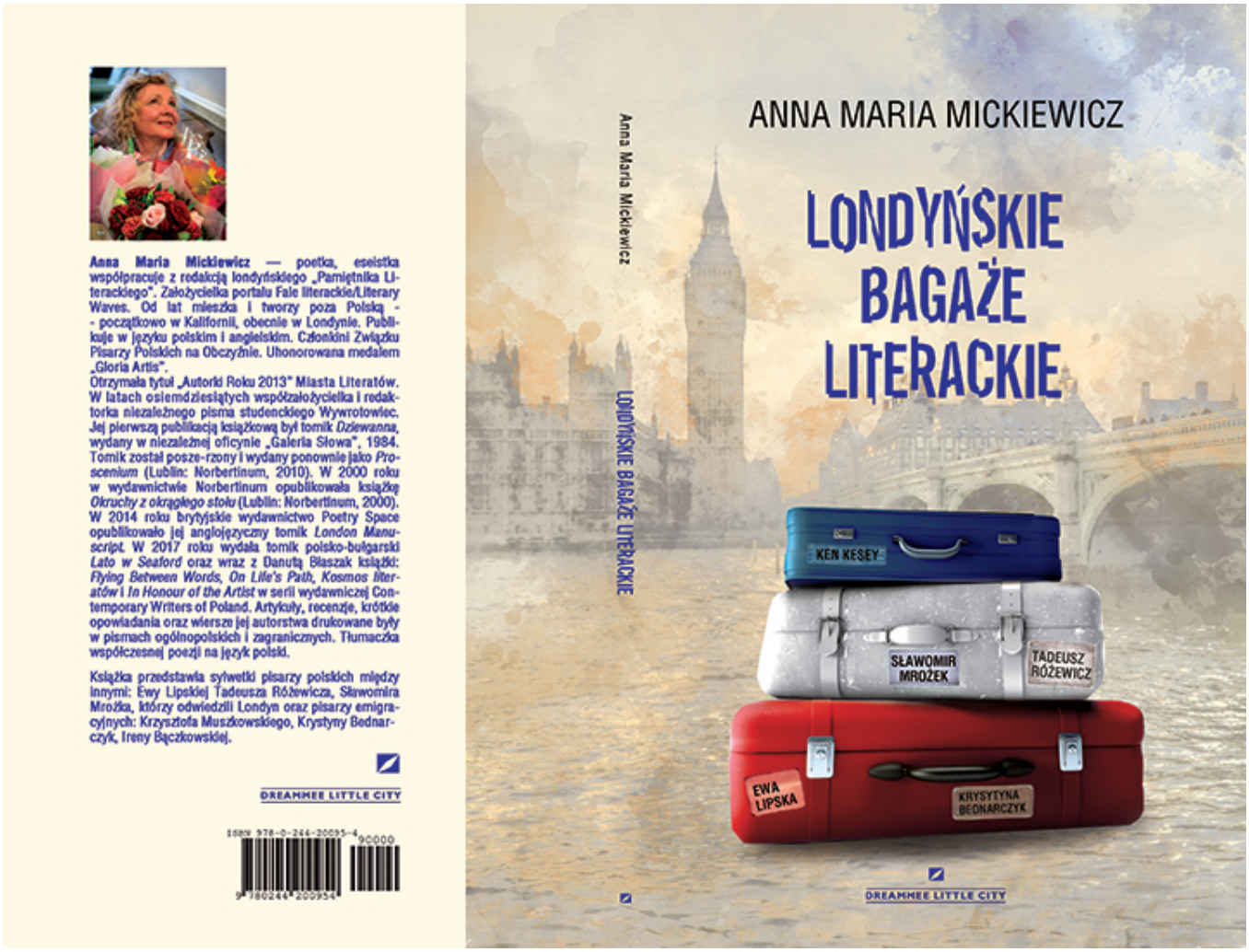
Dlatego, że z jednej strony dialog opiera się na humorze, z drugiej jednak istnieje warstwa dramatyczna, zawierająca wiele prawd metafizycznych, bardzo smutnych.

Tego nie nazwałbym przewrotnością, tylko umiejętnością przyciągania i zatrzymywania widza. Jeżeli widz czuje się zaciekawiony, to nie wyjdzie z teatru, zanim sztuka się nie skończy, po drodze można mu powiedzieć jeszcze coś poważniejszego. Sposobem na widza jest zabawa.

Bardzo często życie przedstawia Pan jako formę więzienia…

To nie jest tylko w mojej twórczości. Na tym polega życie, że są ograniczenia. Gdyby ich nie było, to by nie było życia i nas też. Jednocześnie na to narzekamy, bo chcielibyśmy być absolutnie wolni. Natomiast absolutna wolność oznacza śmierć… Przestajemy podlegać prawu ciążenia, natychmiast się ulatniamy w kosmos i nas nie ma. Zarówno mnie nie ma, i pani nie ma. Wszystko się odrywa od ziemi i znika. Dlatego nie należy narzekać na jakiekolwiek ograniczenia.

Londyn, marzec 2000 r.



Wywiad ze Sławomirem Mrożkiem to fragment książki, Anny Marii Mickiewicz „Londyńskie bagaże literackie", która właśnie się ukazała. Materiały poświęcone są przede wszystkim pisarzom polskim, którzy zaistnieli w polskiej i międzynarodowej przestrzeni kulturalnej, których autorka miała okazję spotkać poza granicami kraju. Oprócz Sąłwomira Mrożka należą do tego grona Ewa Lipska, Tadeusz Różewicz, Krzysztof Muszkowski, Krystyna Bednarczyk. To swoisty pamiętnik.

Książkę można kupić:

http://www.lulu.com/shop/anna-maria-mickiewicz/londy%C5%84skie-baga%C5%BCe-literackie/paperback/product-24179769.html

http://www.norbertinum.pl/ksiazka/717/Londy%C5%84skie-baga%C5%BCe-literackie?fbclid=IwAR2J-0grjcLD6LpS_6E5xz8RRBEouKQ06_sGLJjboOt4DigmGgAJmn7atvM



Anna Maria Mickiewicz z książką

Czyżby zmierzch redaktorów?



Florian Śmieja, Jan Kaszuba, Wojciech Krajewski, Adam Bromke, Benedykt Heydenkorn, fot. arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja *(Mississauaga, Kanada)*

Panie Redaktorze, pyta Pan mnie, jak to było dawniej sugerując,

że ja pamiętam jeszcze, co się działo w ciągu ostatniego półwiecza w prasie polskojęzycznej na Zachodzie. Nie wiem, jak jest z tą pamięcią i czy dużo pamiętać to dobrze. Owszem, w latach czterdziestych zacząłem czytać prasę codzienną i czasopisma w Anglii. Prasa ta miała twarde życie, skoro „Dziennik Polski" ukazuje się w Londynie po dzień dzisiejszy. Widać, że ta prasa miała wiernych czytelników i że była pisana przez ludzi ideowych znających także swój fach. Zresztą sam również brałem aktywny udział redagując, względnie współpracując, przez dziesięć lat z trzema pismami młodych w Londynie. (Odsyłam do trzech książek, które dotychczas ukazały się w Polsce na ten temat. A zanosi się na więcej).

Kiedy w roku 1969 przeniosłem się z Anglii do Kanady, nadal abonowałem znakomity tygodnik londyński „Wiadomości" oraz miesięcznik paryski „Kultura" aż do ich zamknięcia. Natomiast moją prasą codzienną stały się rywalizujące z sobą na terenie Ontario tygodniki (w pewnym momencie jeden z nich stał się pół tygodnikiem) „Głos Polski´ i „Związkowiec". Oba pisma, czy raczej ich cienie, z czasem zamilkły, a kiedyś miały nakłady sięgające tysięcy egzemplarzy, które wówczas się sprzedawały i słały poza granice Kanady. Jaka jest sytuacja obecnie?

Minęły już lata od śmierci w Toronto Benedykta Heydenkorna (1906-1999), wybitnego dziennikarza i wieloletniego redaktora „Głosu Polskiego", a później „Związkowca". Żył mężnie wśród

kanadyjskiej Polonii, choć sam z niej nie był, przyjechał bowiem z emigracji niepodległościowej. Przeszedł przez Związek Sowiecki, a potem z II Korpusem gen. Władysława Andersa był we Włoszech i został zdemobilizowany w Anglii. Staż swój w Kanadzie zaczął od kontraktowej pracy fizycznej, ale z czasem stał się korespondentem prasowym (niepłatnym), aż wreszcie współpracownikiem i kierownikiem pism.

Praca w dziennikarstwie była pół wieku temu bardziej honorowa niż intratna. Płace były skromniutkie, żadnych przywilejów, libacji w konsulacie czy darmowych biletów LOT-u. Były to czasy ascezy i wolontariuszy, za to robiło się dużo, bo dla sprawy. Ludzie emigracji żołnierskiej marzyli o powrocie do Polski, nie imponował im Zachód, rzadko który robił karierę. Mniej z pewnością było sporów o pieniądze publiczne, gdyż ich nie było lub były zbyt skromne. Kasa Pożyczkowa dopiero co się wykluła. Z czasem jednak zapał społeczników począł stygnąć, szczególnie, gdy zaczęła odchodzić starszyzna.

Nie panowała bynajmniej wyłącznie sielanka. Jak to wśród krewkich Polaków, wybuchały scysje, zatargi i pomówienia zazdrośników oraz zawiedzionych karierowiczów, blagierów wszelkiej maści, których na emigracji nigdy nie brak, a którym Heydenkorn nie schlebiał i polityków, którym bębenka nie chciał podbijać. Cieszył się za to zaufaniem współpracowników, wdzięcznością czytelników i wielu członków Polonii, którym

gratisowo radził i pomagał. Bo redaktor był kiedyś instancją poważaną, człowiekiem zaufania, który stał ponad partiami i prywatą, osobą nieprzekupną i niezawisłą. Był nieomal moralną wyrocznią.

Jego wyraźny głos znajdował posłuch. Czy kiedy domagał się zwrotu skarbów wawelskich przechowywanych w Kanadzie, czy kwestował na chleb dla Polski, był osobowością, z którą się liczono. Respektowały go także władze kanadyjskie. Od samego początku działalności w Kanadzie opowiadał się za zapisywaniem się Polaków do kanadyjskich partii politycznych i do odgrywania roli w życiu kraju zamieszkania, kiedy nie było to dobrze widziane, a nawet ostro krytykowane.

Animacja polskiego życia kulturalnego w wydaniu Heydenkorna nic nie miała wspólnego z pragmatycznym, czy wręcz interesownym podejściem chytrych i obrotnych aktywistów, którzy się zaczęli pojawiać później. Redaktor wiele rozumiał. No, może dziwił się nieco, że uciekinierzy spod komunizmu tak chętnie zaczęli natychmiast jeździć na Kubę nie martwiąc się o tamtejszą ludność nadal trzymaną w ryzach totalitaryzmu. Cechowała go tolerancyjność i chęć pomagania. Zachęcał i zagrzewał zainteresowanych i radził, podsuwał materiały i wprowadzał do zagadnień i tematów mało dbając o własne imię, a tym bardziej kiesę.

Dziś, gdy przeglądamy stosy wywiadów robionych ostatnimi laty z jednodniowymi fenomenami polskiego życia w Kanadzie, zauważymy, że wśród nich brakuje prezentacji Heydenkorna. Wszystkie płotki są w komplecie, brak dużej ryby. To już wina tuzinkowych ludzi, którzy dosiedli zbyt wysokich dla siebie foteli. Rozeznanie mieli kiepskie i krótkowzroczne. Heydenkorn nie wypinał piersi do orderów i wyróżnień, za to był natchnieniem i dobrym duchem wielu poważnych historyków, socjologów i dziennikarzy, którzy idąc jego śladami studiowali polską diasporę w Kanadzie i napisali o niej wiele istotnych studiów i monografii.

Pamiętam, jak się jedynie łagodnie uśmiechnął, kiedy w „Związkowcu" zaczęła pracować młoda pani przyjezdna z Polski i oświadczyła z tupetem, że była pierwszą dziennikarką z prawdziwego zdarzenia na terenie Kanady. Już o niej zapomniano. Redaktor do końca interesował się fluktuacją polskiej diaspory, sumiennie notował inność kolejnych fal polskich imigrantów przezywanych raz 'mormonami' raz 'sylwestrowo-kabaretowymi', uznając spokojnie, że zmieniają się ludzie i ich ideały a także potrzeby. Mówił do końca o konieczności szybkich przemian struktur polonijnych.

Jakie mogą być moje refleksje Anno Domini 2019? Odeszli od nas wielcy redaktorzy, którzy na Zachodzie pokazali wysoką klasę człowieczeństwa i fachowości, myślę przede wszystkim o Mieczysławie Grydzewskim czy Jerzym Giedroyciu, ale także o

wyżej wymienionym Benedykcie Heydenkornie. I po nich zaległa pustka. Może po prostu w dziennikarstwie nie ma już zapotrzebowania na jednostki nieprzeciętne w erze szarego człowieka, który osobowości ośmieszył i oszkalował, bo nie potrafił im dorównać? Na wielkich spędach i przy szumie nowych gwiazdorów i ulubieńców ludzie płynący nie z prądem musieli przegrać? Nie pasowali do warchołów i konsumentów dóbr, do pogrążających w niesławie dobre imię, na które inni ciężko pracowali przez wiele lat.

Zastanawiałem się onegdaj nad listą ewentualnych solidnych firm, rodaków spolegliwych, na których można polegać. Pomyślałem o jednym takim, co przyleciał do mnie jak po ogień, bo chciał robić pilny wywiad. Zabrał kupę fotografii i nie potrafię tych fotografii odzyskać. Z wywiadu oczywiście, nici. Inny ma moją taśmę i książki i również nie umiem ich odebrać. A niech was z taką solidnością! To chyba wiele mówi o stanie sprawy.

Potem na całym świecie nastąpiło załamanie sie prasy. W miejsce dawnych ambitnych publikacji powstało wiele nowych pism. Teraz, darmowe, walają się wszędzie, ale nie ma wśród nich takiego, którego lektura byłaby konieczna. Nie widać też rzetelnych, słownych redaktorów budzących powszechne zaufanie, bo ustawicznie uwikłani są w połajanki i kłótnie, a równocześnie pretendują do reprezentowania czegoś i kogoś, a jako tacy wirtualni przedstawiciele latają do kraju chcąc za

wszelką cenę pozostać uprzywilejowanymi pupilkami za granicą.

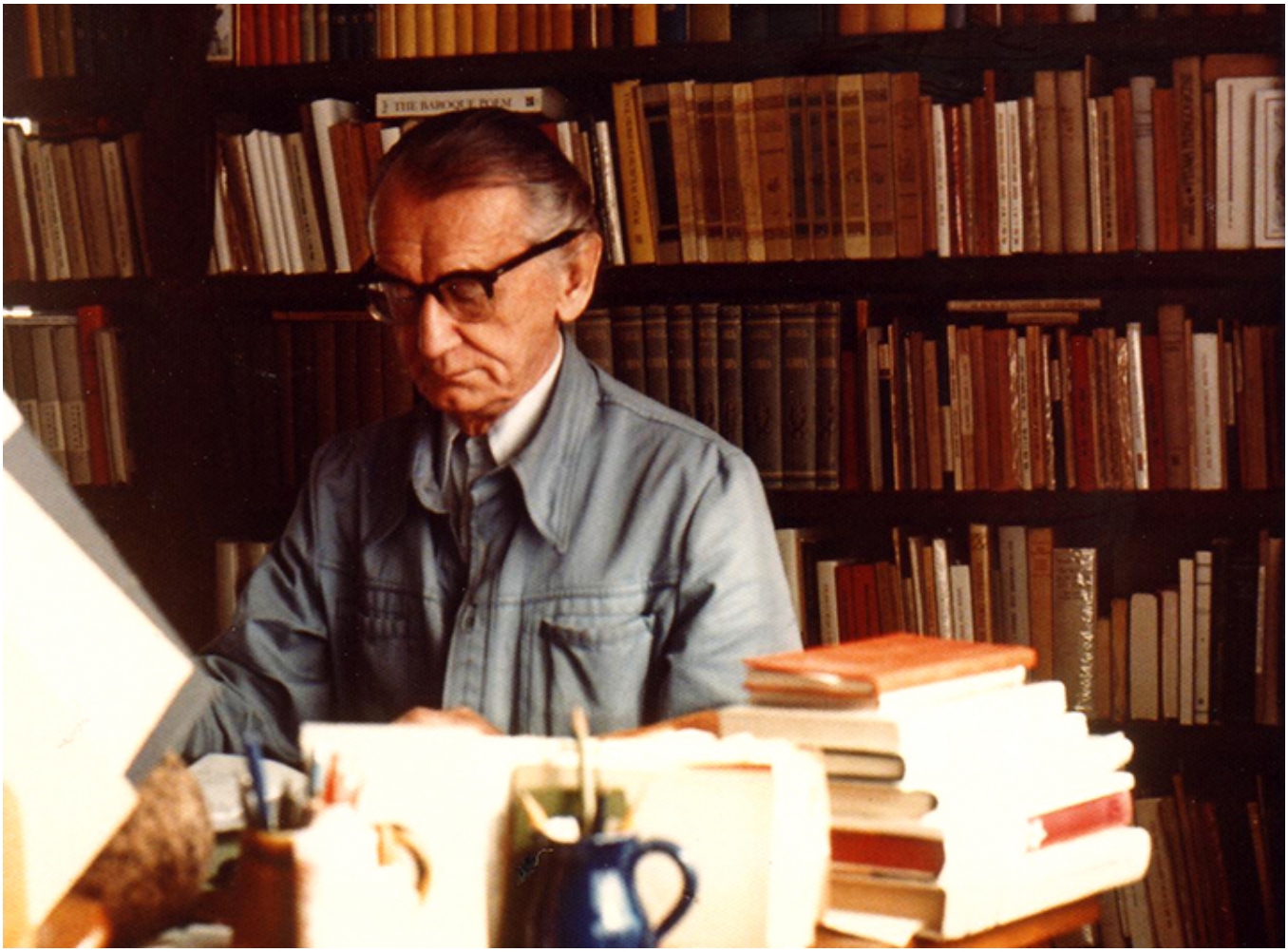
Nowa sytuacja pozbawiła nas głosu. Można i tak żyć. W Polsce nasi ziomkowie zafundowali sobie cezaropapizm. Co nam przyniesie jutro?

_____

O Benedykcie Heydenkornie:

https://www.cultureave.com/wspominajac-wybitnego-redaktora/

Rozmowa w zaświatach



Tymon Terlecki w lutym 1977 r. w Chicago, biblioteka domowa, fot. arch. Niny Taylor-Terleckiej.

Nina Taylor-Terlecka *(Oxford, Wielka Brytania)*

Bronisław Przyłuski odszedł w 1930 r. Tymon Terlecki, który go przeżył o 20 lat, wysoko cenił jego poezję.

Uprzejmościowa, pełna wzajemnej estymy, ich korespondencja nie odsłania głębszych wynurzeń natury osobistej. Co zatem ich łączyło za życia?

Jednolatkowie – jeden zodiakalny Wodnik, drugi Lew, urodzili się w rewolucyjnym roku 1905. Przyłuski w Siemierzu, Terlecki w

Przemyślu, parę lat po sprzedaży majątku rodzinnego pod Jarosławiem. Obaj pochodzili ze zubożałej szlachty, obaj zostali wcześnie osieroceni: Przyłuski stracił matkę, gdy miał rok, Terlecki ojca, gdy miał trzy lata. Dzieciństwo Terleckiego było nie tradycyjnie wiejskie, lecz miejskie (w Przemyślu i Lwowie). Natomiast Przyłuski senior dzierżawił majątki na Lubelszczyźnie. Poza niefortunną wyprawą na jakąś szmirę prowincjonalną, o czym barwnie opowiada w autobiografii, pierwsze wrażenia teatralne Przyłuskiego wiążą się z spektaklem kolędowym okolicznych chłopów, jasełkami w kuchni czeladnej, z gwiazdą, turoniem i szopką, obrzędami dożynkowymi, andrzejkowymi i pasyjnymi. Terlecki natomiast wspominał *Betlejem polskie* Lucjana Rydla, które jako 7-letnie dziecko mógł obejrzeć w Przemyślu w styczniu 1913 r. w sali „Sokoła", zagrane przez Polskie Towarzystwo Dramatyczne im. Aleksandra Fredry lub w sali braci salezjanów na Zasaniu w inscenizacji Towarzystwa św. Stanisława Kostki.

Po ukończeniu szkoły podstawowej obaj uczyli się dalej we Lwowie. Terlecki chodził tam do szkół im. Konarskiego (1915–16), Batorego (1920–24) i Długosza, Przyłuski od 1919 r. do gimnazjum matematyczno-przyrodniczego przy Korpusie Kadetów, do którego wstąpił. Nie ma dowodu, żeby się w tym okresie zetknęli, choć estetycznie wrażliwych nastolatków pewnie przyciągały te same galerie, zbiory malarskie i wystawy.

Po maturze każdy wybrał inny kierunek – Przyłuski karierę wojskową – ukończył Oficerską Szkołę Artylerii i Inżynierii w Toruniu i w latach 1925-32 służył w 14. Dywizjonie Artylerii Konnej w Poznaniu, a Terlecki studia polonistyczne na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Obaj święcili debiut w 1930 r.: Przyłuski wierszem w Poznaniu, Terlecki wspomnieniem o zmarłym przyjacielu w prasie lwowskiej. Z poezją Przyłuskiego Terlecki mógł się zapoznać jako recenzent tomików poetyckich i okazjonalny animator wieczorów literackich w Kasynie Literacko-Artystycznym przy ul. Akademickiej lub podczas pobytu w Wielkopolsce z okazji kwerendy do pracy o Ryszardzie Berwińskim.

Gdy podczas kampanii wrześniowej, walcząc pod komendą generała Kleeberga, poeta został wzięty do niewoli pod Kockiem 7 października 1939 r., teatrolog Terlecki już przebywał w pierwszym obozie Wojska Polskiego tworzonego we Francji, w legendarnym **Coëtquidan**. Tam z kolegami zabrał się bezzwłocznie do założenia pisemka obozowego, wkrótce promowanego do godności organu całych Polskich Sił Zbrojnych. W tym samym czasie w Oflagu VII A w Murnau, Przyłuski angażował się w zakładanie teatru amatorskiego, pisał sztuki i rewie, zdobywał szlify aktorskie na improwizowanej estradzie, redagował pismo *TO*, czyli *Teatr Obozowy*.

Gdy po upadku Powstania Warszawskiego słynny reżyser Leon

Schiller pojawił się w oflagu Murnau, Przyłuski z kolegami „wzięli go na garnuszek", gotując mu na knotach łojowych – jak później wspominał – zepsute niemieckie kartofle z amerykańską wołowiną i polską wędzonką. Przy tym ostro dyskutowano o sztuce. Wkrótce Schiller włączył się do życia artystycznego obozu; właśnie prowadził próby dramatu poetyckiego Przyłuskiego *Hiob*, kiedy armia amerykańska wyzwoliła obóz (29 IV 1945).

Od razu nawiązuje się nić wspólnoty. W przedwojennej Warszawie Terlecki współpracował z Schillerem w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej, towarzyszył mu w pracach organizacyjnych, przygotował program studiów teatrologicznych. Po wojnie krótko miał nadzieję, że da się go ściągnąć na emigrację. Wspomnienie obozowe Przyłuskiego ukazało się w specjalnym numerze *Wiadomości* (nr 44, 1955 r.) poświęconym Schillerowi, a zainicjowanym i zredagowanym przez Terleckiego.

Już po przybyciu Przyłuskiego do Londynu, obaj panowie spotykali się w teatrze, na łamach *Wiadomości*, w siedzibie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Żona Terleckiego, Tola Korian, niejednokrotnie koncertowała w Mabledon Park, gdzie Przyłuski kierował świetlicą. W recenzji z *Pastorałki małoszowskiej*, granej w „Ognisku" w 1952 r. przez zespół amatorski z Mabledon, Terlecki przywoływał wzór *Pastorałki*

Schillera, a inscenizację Przyłuskiego zapamiętał na zawsze.

Z Radiem Wolna Europa Terlecki współpracował od 1952 r. jako tzw. wolny strzelec. Wyróżniony w konkursie RWE za utwór literacki (1953 r.), Przyłuski od 1958 r. miał etat w Monachium, gdzie m.in. zastępował Romana Palestra w czuwaniu nad realizacją słuchowisk. Mimo że etatowa praca nie sprzyjała warsztatowi poetyckiemu, jego monachijskie lata cechuje bogata twórczość radiowa. Pisał ambitne dramaty radiowe, o rozmachu wręcz wizyjnym, żeby wymienić chociażby *Chustę Weroniki* czy *Rozmowę drzew* opartą na staroangielskim *Dream of the Rood*. Znad Tamizy Terlecki – autor audycji dla przedwojennego Polskiego Radia – przesłał w okresie kilkunastu lat ok. 40 adaptacji. Trzon jego dorobku radiofonicznego to teatr liturgiczny, dramat chrześcijański; jego adaptacje na antenę mają najczęściej wymiar metafizyczny.

Nawet zaciekli teatromani nie samym teatrem żyją. Obu panowie oddawali się pasjom malarskim. Wielbiciel i subtelny znawca malarstwa, Przyłuski przekładał swoje przeżywanie piękna na wiersze. Swoisty *musée imaginaire*, jego tomik *Strofy o malarstwie* składa się na liryczny podręcznik po historii sztuki. Interesuje go nie kopia rzeczywistości, lecz wizerunek wszechświata. Fascynują go prapoczątki sztuki jaskiniowej, Fra Angelico i Giotto, Piero della Francesca i Ghirlandaio, mistrzowie holenderscy, Michał Anioł i Bellini, Celnik Rousseau i Rouault, aż

po kubistów i postkubistów. Doszukuje się wszędzie pierwiastka metafizycznego, mistycznego, gdyż istotą sztuki jest dla niego świętość, a pobożnego Giotta z pierwszym poganinem łączy wyczucie czy odczuwanie *sacrum*. Duchowość zespala się ze zmysłowością, zauroczeniem barwami: pisząc o Tycjanie poeta twierdzi, że w kolorze jest zbawienie. Nie jest przypadkiem, że tomik ten Przyłuski zadedykował Marianowi Bohuszowi-Szyszko, który z kolei dla Terleckiego był przede wszystkim malarzem inspiracji religijnej, pędzlem i paletą przemieniającym materię w światło o wymiarze mistycznym. Bohusz-Szyszko zresztą obu panów sportretował w różnych okresach.



Bronisław Przyłuski, fot. arch. Barbary Gaździk, Londyn.

Polityka tylko pozornie dzieliła Przyłuskiego i Terleckiego. Pierwszy na emigracji był nielewicującym członkiem PPS, drugi należał do Polskiego Ruchu Wolnościowego Niepodległość i Demokracja, przed wojną zaś, jako radykał społeczny we Lwowie, do Zespołu Stu. Z żyjących poetów szczególnie sobie cenili Józefa Wittlina. Wspólna też była fascynacja Bolesławem Leśmianem, którego wpływ odczuwa się zwłaszcza we wczesnej twórczości Przyłuskiego.

Terleckiemu poezja Leśmiana kojarzyła się z wielkim olśnieniem w latach choroby, spędzonych w zakopiańskim „Bratniaku", gdzie zbiorowe przeżycie *Łąki* stało się wstrząsem. Tamte wspólne lektury „miały coś z mistycznych inicjacji orfickich", a doznany zachwyt „stał się religią czynną. Organizowaliśmy dla profanów zebrania wtajemniczające". Konkludował:

> To może nie jest złudzenie, że z tej poezji płynęło w nas zdrowie, wola życia, zajadła determinacja walki ze śmiercią. To już może być złudzenie, że około tego czasu zaczęliśmy jakby nieco rzadziej umierać.

Esej Terleckiego o Leśmianie pochodzi z 1948 r., rok wcześniej wydał z ramienia Stowarzyszenia Pisarzy Polskich *Łąkę* i *Traktat o poezji* (1947), rękopis *Traktatu* zakupił od wdowy. Z okazji 20. rocznicy śmierci poety Przyłuski napisał wstęp do wydanych przez Veritas *Klechd polskich*. Wraz z Terleckim uczestniczył w wieczorze leśmianowskim urządzonym przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie w Instytucie im. gen. Sikorskiego (22 I 1957 r.), na którym występowali także Mieczysław Giergielewicz, Herminia Naglerowa i Tadeusz Sułkowski; wiersze czytała Tola Korian.

Innym wspólnym obiektem zainteresowań Przyłuskiego i Terleckiego był zmarły w 1926 r. austriacki poeta Rainer Maria

Rilke, który zajmował poczesne miejsce w galicyjskim panteonie literackim. Cieszył się swoistym kultem w środowisku intelektualnym Lwowa, tłumaczył go m. in. Józef Wittlin. Mimo że Terlecki wyniósł ze swej szkoły austriackiej znikomą znajomość języka niemieckiego, został w 1931 r. skłoniony do wygłoszenia odczytu we lwowskim Kasynie. Nie znał wówczas przekładów Wittlina, za to podkreślał wyjątkowe walory niewydanego jeszcze przekładu Stanisława Maykowskiego (ówczesnego kierownika literackiego *Słowa Polskiego*) *Pieśni o miłości i śmierci korneta Krzysztofa Rilke*. I zakończył swoją prelekcję: *„Incipit mysterium poesiae*. – Poczyna się misterium poezji". Potem dwoje przyszłych londyńczyków, Ewa Kuncewiczówna (żona Schillera) i Leopold Pobóg-Kielanowski recytowali utwory poety.

Był to jednorazowy wyczyn Terleckiego. Natomiast długoletnie obcowanie Przyłuskiego z autorem *Elegii duinejskich* ukoronował w 1977 r. przekład wspomnianej *Pieśni o miłości i śmierci korneta Krzysztofa Rilke*, wydany przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie.

W eseju o Leśmianie Terlecki pisze:

> Bo każda prawdziwa poezja jest łaską wzmożonego życia, łaską pocieszenia i umocnienia w życiu.

O zbiorowym czytaniu w latach zakopiańskich twierdził, że

> osobiście nigdy przedtem, nigdy potem nie przeżyłem takiej wspólnoty przyjaźni, braterstwa, porozumienia.

Mimo, że poeta i krytyk nigdy za życia nie wypili bruderszaftu, czas pozaziemski pozwala na odrabianie zaległości. Spacerując po wielkiej galerii kosmicznej miłośnicy teatru, poezji i malarstwa mają o czym rozmawiać. Dialog w zaświatach trwa. Może warto mu się przysłuchiwać.

Artykuł ukazał się w „Przeglądzie Polskim" dodatku do nowojorskiego „Nowego Dziennika".

Nina Taylor-Terlecka o Bronisławie Przyłuskim:

https://www.cultureave.com/bronislaw-przyluski-poeta-dramaturg-i-czlowiek-teatru/

Księżycowy taniec. Haiku.



Adam Fiala

Adam Fiala *(Perth, Australia)*

Szwajcarska kukułka

W zegarze

Ostrzeżenie przed lawinami

***

Po Michaelu Jacksonie

Pozostał

Księżycowy taniec

***

Poezja cmentarna

Grafomania milutka

Lecz upominkowa

***

Święte Pismo

Się czyta

W białych rękawiczkach

***

Kali – grafia

Patykiem

Na piasku Ghany

***

Mruganie gwiazd których już nie ma

Czy podobne

Do mrugania Boga



fot. Anna Fiala

W Królestwie Niebieskim

Bocian i żaba

Przyjaźni na jednej łące

***

Kos gwiżdże

Słysząc

O „Malowanym Ptaku” Kosińskiego

***

Ujad

Mikron

Odgłosu psa

***

Optymiści

Pisali

Na kartkach kolorowych

***

Im dalej w las

Tym większe

Prześwity

***

Wysokie drzewa

Owocują

Wronami



fot. Anna Fiala

Laurowy wieniec

Ale

Z nieśmiertelników

***

Arrasy i ananasy

A przaśny socjalizm

Wolał zsiadłe mleko i kapustę kiszoną

***

Ale drzewiej bywało

„Idź złoto do złota

My wolimy żelazo”

***

Na wagonach

Zakwitają

Graffiti

***

Rzeka

Szuka

Wykrętów

***

Mało kto pamięta

Że Polski Papa

Zreformował różaniec



fot. Anna Fiala

Inni papieże

Mimo zapewnień

Nie biorą się za dalsze reformy

***

Złoty Kogucik

Czy Koziołek

Lublin ma dwa symbole

***

Świerszcz

Jakby zegarek

Z nagłośnikiem

***

Młodzi porównują

Na cmentarzach

Kariery

***

Trzmiel rozumie

Istotę samolotu

Odgłos

***

Grzybiarze

Znajdują

Martwe noworodki

Księżycowy krajobraz Australii w obiektywie Anny Fiali


© Anna Fiala


© Anna Fiala


© Anna Fiala


© Anna Fiala


© Anna Fiala


© Anna Fiala


© Anna Fiala


© Anna Fiala


© Anna Fiala


© Anna Fiala


© Anna Fiala


© Anna Fiala



Emigracyjni kapłani

i łacinnicy



Ks. Tadeusz Kirschke kapelan Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w Monachim, publicysta. Współpracownik Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w latach 1952 – 1981, fot. wikipedia, domena publiczna.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Nasza emigracja żołnierska miała znakomitych kapłanów, że

wspomnę jeszcze dwóch: ks. Tadeusza Kirschke (1908-1996), mądrego, wyrozumiałego i pogodnego człowieka, z którym mieszkałem w polskim hospicjum na londyńskim Earl's Court. Robiliśmy mu różne burszowskie kawały, jak np. wystawiali gazetkę: "Vanitas" *(marność, red.)*, kiedy schodziła się młodzież na zebrania przez niego prowadzonego koła "Veritas" *(prawda, red.)*. Potem rozsławiło go radio Wolna Europa, lecz niewielu pamięta, że wojnę przeżył w obozie jenieckim w Murnau i cudem uniknął śmierci, na którą został skazany za konspirację w niewoli.

Innym ocalałym kapłanem był ks. prałat Zdzisław Peszkowski (ur. 1918), potem w Polsce widoczny jako kapelan Rodziny Katyńskiej. Ostatnie z nim spotkanie miało miejsce w polskim seminarium Orchard Park koło Detroit, a jego antologię poezji maryjnej hołubię jeszcze od Londynu.

***

Ks. Stanisław Bełch ślęczał nad edycją łacińskich pism rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie Pawła Włodkowica. Bywał on w USA, by zastępować proboszczów wybierających się na urlopy. Parafianie z rewerencją tytułowali go mianem "księdza autora".

***

Kiedy w Anglii przedstawiałem żonę ks. arcybiskupowi Gawlinie (1892-1964), ten spytał, czy ona również “rządzi”, tj mówi gwarą śląską (Gawlina był spod Raciborza). Odpowiedziałem, że owszem “rządzi”, ale w ogólnopolskim znaczeniu tego słowa.

***

Miałem szczeście do łacinników-pasjonatów, choć nie pamiętam imion dwu najważniejszych, a ich instytucje nie przechowały o nich pamięci. Pierwszym moim mistrzem był “Kanciok”, Rój, w Tarnowskich Górach, tuż przed wybuchem wojny, był surowy, ale jakoś stałem się jego ulubieńcem.

W Szkocji moim profesorem był Besaga, nie pomnę imienia i nie wiem jak pisać jego nazwisko, tak wymownie przedstawił Wergilego, że wojskowa brać zorganizowała specjalny wieczór zatytułowany “Nasz przyjaciel Maro”. Wśród przekładów recytowano także moje wersje łacińskich urywków Wergiliusza. Potem wydrukowałem w londyńskim “Życiu” przekład czwartej eklogi, “mesjanistycznej” tego poety, ale uwieńczeniem moich zachodów było wręczenie tego tekstu wielkiemu szampionowi klasyki, Janowi Parandowskiemu (1895-1978), kiedy odwiedził Londyn, a ja pośpieszyłem do British Museum, by na jego stopniach spotkać się z nim na pamiętny moment.



Wilno w poezji i obiektywie



Troki, Litwa, fot. Tadeusz Szostak.

Aleksander Lewicki *(Wilno)*

> Stworzony z gliny,
>
> Dusza od Boga
>
> A ciało z Ziemi Matki…
>
> I zostało w pamięci
>
> Moich kości i krwi…
>
> Razem z wiosną ożywam

W trawie, kwiatach,

Kwitnących sadach…

Moje ręce obejmując

Gałązkę jabłoni

Stają się gałęziami

Kwitnących kwiatów…

Padam w pachnące trawy

i już w ich korzeniach…

Ziemia Matka tuli

Swego kochanego syna

i upomina, że jestem

Jej własnością,

A Ona – własnością Boga…

***

Tadeusz Szostak *(Austin, Teksas)*



Wilno



Wilno

Aleksander Lewicki *(Wilno)*

> Uniósł mnie duch
>
> W swoje zaświaty…

Gdzie ludzi nie ma,

Wierzby nie rosną,

Rzeki nie płyną,

Kwiaty nie kwitną…

Zniknęło moje ”ja”

Stałem się nędznym kurzem…

Wszystko wirowało

Wciągało do siebie

Z dzikim rykiem

I zgrozą…

Droga do otchłani

Zło tryumfowało…

Tylko jedno westchnienie,

Jedna myśl…do Boga…

Radość nie do opisania!

Dalekie Światło wołało

Mnie nędznego, zagubionego…

Czule otuliło Miłością!

Rozkochało w Sobie

Ożyłem i byłem…

Nie ma takiej Miłości na ziemi,

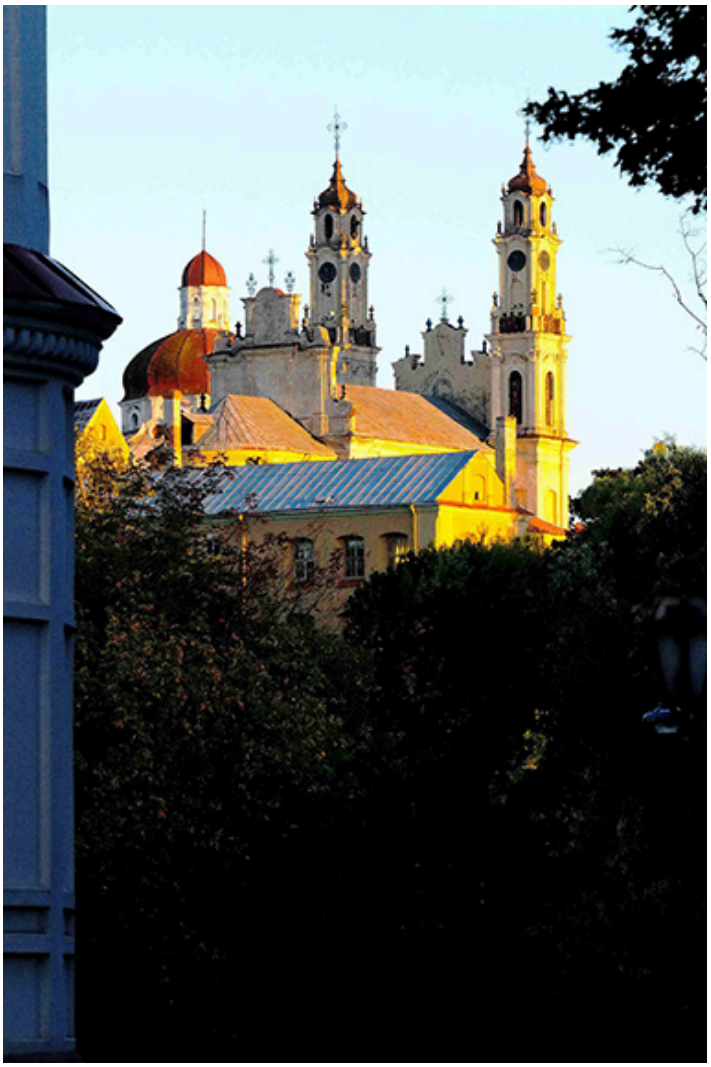
Tylko Bóg umie tak Kochać!

Dusza poznała Swego Ojca

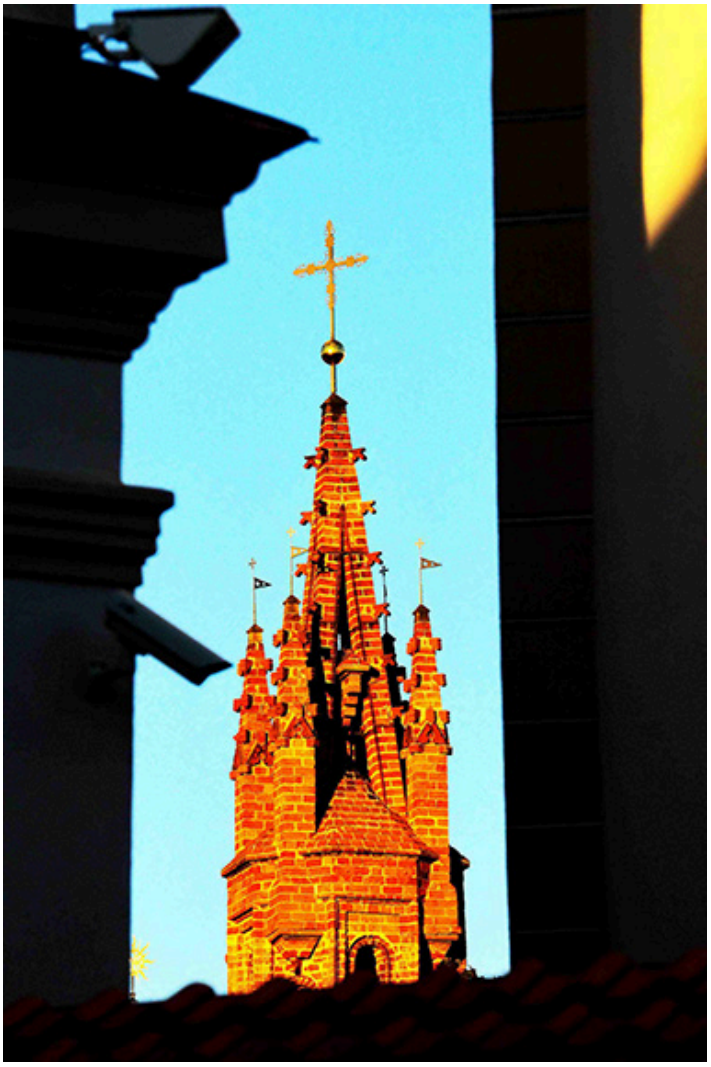
I nie chciała niczego innego

***

Tadeusz Szostak *(Austin, Teksas)*



Wilno



Wilno

Aleksander Lewicki *(Wilno)*

> Złociste pole żytnie
>
> Jak włosy dziewczyny,

Ziarno dojrzałe

Jak brzemienna kobieta…

Chabry pieszczące oko

Jak postać kochanej…

Motyle tańcują taniec,

Taniec weselny…

Rozkochany w tej piękności

Duch mój wyśpiewywał

Hymny Panu Bogu,

Wielbiąc Jego Dzieło!

W blasku słońca

Ujrzałem ciebie z kwiatem

Wplecionym we włosach

I zapomniałem o swoich latach…

Twoja młodość i piękność

Uwiodła mnie

Na pierzynę z żytnich kłosów…

Zapomnieliśmy o dniu wspaniałym,

Bo noc już gwiazdy sypała…

A my szczęśliwi staliśmy się

Polem, żytnim polem

Ty kłosem… i ja kłosem,

Nie żałując sobie

Złotego pyłu…

***

Tadeusz Szostak *(Austin, Teksas)*



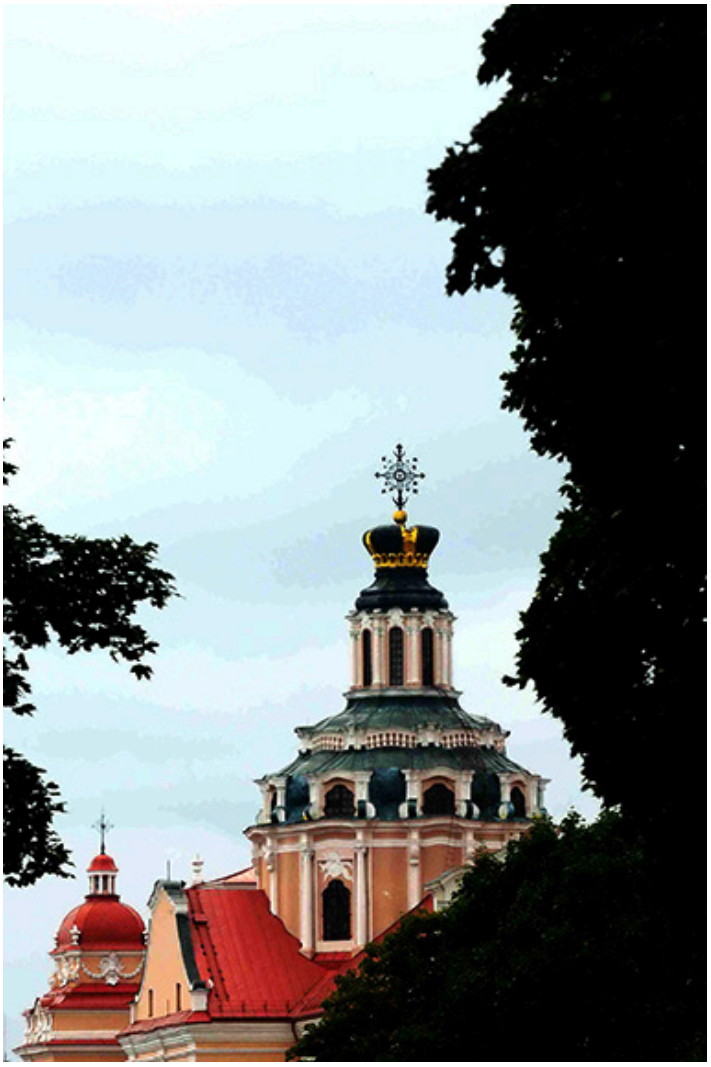
Wilno



Wilno



Wilno



Wilno

O Aleksandrze Lewickim:

https://www.cultureave.com/noc-i-inne-wiersze-z-wilna/

Koniec świata Orzeszkowej

Barbara Gruszka-Zych



Teresa i Tadeusz Bohatyrowicze

– Jak opisywała pani Eliza Orzeszkowa, nasi przodkowie tu żyją od 450 lat. Wszystko my z tej książki wiemy – opowiadają Teresa i Tadeusz Bohatyrowiczowie.

„Nad Niemnem” zastępuje im księgi parafialne i drzewo genealogiczne. Nie tak dawno studenci z Polski przywieźli im wydanie okazałe, jednotomowe. Ale ostatnio gdzieś się zapodziało. Tak jak dawna świetność opisywanego w powieści zaścianka.

Bohatyrowicze na białoruskiej mapie trudno znaleźć. Choć wiadomo, że leżą blisko Grodna. Przy błękitnej linii Niemna. – *Mała dieriewnia* – usprawiedliwiają się nie znający jej Białorusini. To jeden z ważniejszych punktów programu wycieczek z Polski. Zna je każdy, kto przeczytał powieść Orzeszkowej. Ale w tym roku od maja zatrzymały się tu tylko cztery autokary. – Jak się rozpadł Sowiecki Sojuz to zaczęły tu jeździć wycieczki. Teraz na granicy kłopoty są. A kiedy nasi przyjeżdżają, przywożą ojczysty język i wszystko odżywa – mówią gospodarze.

Przez duże „M”

Nie zauważamy stojących przy drodze drewnianych świątków wskazujących drogę. Brak napisów. Żeby zapytać podjeżdżamy pod otwarte drzwi obory. Okazuje się, że należy do kołchozu.

Kilkanaście byków hodowanych na mięso stoi po kolana w gnoju. Przez szum much robotnik tłumaczy, że Mogiła w lesie obok, w Milewiczach. – Tu Bohatyrowicze – katolickie, Milewicze – prawosławne – mówi. Z pierwszej chaty Milewicz wyskakuje chętna do oprowadzenia Sudakija Kemko. Zmienia fartuch na wyjściowy, poprawia chustkę. – Mama Wiktoria Żukiewicz też była Polką – opowiada po rosyjsku. Sudakija została tu z mężem, dzieci poszły do miasta. W wiosce mieszka 16 osób. Idziemy na skróty przez las sosnowy. Pachnie żywicą. Tu wybrali się na patriotyczną ”randkę” bohaterowie „Nad Niemnem” Justyna Orzelska i Jan Bohatyrowicz. Do Mogiły z 1863 r. Pisanej z dużej litery. Błyska metalowy krzyż na kopczyku. Miejsce pochówku czterdziestu powstańców. Świeży wieniec od młodzieży z Lublina. – Tu będzie Msza latem, dużo ludzi przyjedzie – cieszy się przewodniczka. Potem zaczepiając spódnicą trawy podprowadza nas na bagnisty brzeg Niemna.



Mogiła 1863 r.



Sudakija Kemko

Zbutwiała ławeczka

Do domu państwa Bohatyrowiczów docieramy dzięki szóstoklasiście Denisowi – Białorusinowi z Grodna. Wie, że oni Polaków oprowadzają. – Kiedyś w Niemnie był żwirek, piaseczek i czyściutka woda – opowiada Teresa, wyprostowana, uśmiechnięta. (- Teraz ja już nie ta, siedemdziesiąt lat – mówi o sobie). U każdego gospodarza była swoja łódka. Dwa filmy tu nakręcili, pierwszy za polskich czasów. Bardzo lubię w powieści pani Orzeszkowej moment, jak to tratwy płyną po rzece. Szeroko,

dostojnie. Ona moja ukochana. Dzisiaj brudna, ryby w niej nawet łapią byle jak, na prąd. W wiosce niewiele zostało z czasów powieści. – Tu był dom pana Klemensa Strzałkowskiego – gospodarze pokazują zrujnowaną budowlę naprzeciw ich domu. Potem przez wysokie trawy przedzieramy się do powieściowego dworu Korczyńskich, na prawdę posiadłości Kamińskich. Z boku dostojna aleja dębów prowadzi w nadniemeńskie chaszcze. Kiedyś unosił się tu kurz spod kół powozów jadących do dworu. Z zarośli sterczą resztki ruin spalonych w czasie wojny. W dole lśni Niemen. Tu przed wojną przybijały do brzegu dwa statki pasażerskie z Grodna. „Jagiełło" i „Jadwiga" z letnikami. – Raz chodziłam tu ze starszą panią z wnuczkiem – mówi Teresa. – Biegała radośnie i robiła zdjęcia. „Czego babcia szuka po tych krzakach?" – dziwił się nie rozumiejąc wnuk. A tu puste miejsce między dębami, zbutwiała ławeczka, na której pani Orzeszkowa książkę pisała. Najlepiej zachowano grób Jana i Cecylii z XVI wieku. Ale i on po wielokrotnych rekonstrukcjach. Teresa: – Jak byłam mała chodziłam tam z babcią na Msze, bo nową figurę poświęcili. Ale drewno zgniło i teraźniejszy pomnik postawił priedsiedatiel kołchozu.



Grób Jana i Cecylii



Grób Jana i Cecylii

Młodych nie ma

Nazwa Bohatyrowicze wzięła się stąd, że bohaterscy byli tutejsi mieszkańcy. Trwali przy ziemi zachowując jej polskość. – W naszej okoliczce 8 osób zostało – skarżą się państwo Bohatyrowiczowie. – I wszystkie takie dożywające jak my. Dwie córki i syn przenieśli się do Grodna. Wracają na wiosnę i lato. Na kupionej działce hodują kapustę, pomidory, marchew, buraki, cebulę. Z tego, co zarobią żyją jesienią i zimą – mówi ojciec. – Mamy też wnuki Witalija i Jurę, oni się czują Polakami. Starsi

państwo sadzą ziemniaki na polu dzierżawionym od kołchozu. I pomidory wokół domu. – Wszystko zapuszczone, bo młodych nie ma – mówią. – I domy stare, i obejścia i ludzie – skarży się 67-letnia Irena Strzałkowska, która przybiegła, myśląc, że sprzedajemy kurki. – Młodzi poszli do miasta, a my na cmentarz, od tego nikt nie się odkupi. (Jej 90-letnia mama Anna Bohatyrowicz mieszka koło grobu Jana i Cecylii.) Kto będzie o wioskę dbać? – Czy ojczyzna to dla was Bohatyrowicze? – pytam. – To dla nas Polska, całe życie tu przeżyłam – odpowiada Teresa. – I mąż też stąd. Kto wyjechał, to ma dużo lepiej. Ale ojciec męża, Stanisław, powtarzał: – Gdzie pojedziecie, kto wam co da? Na jednym miejscu kamień niech obrasta.

Zimą, ledwie zrobi się szaro, wieś zamiera, wszyscy idą spać. Ani jednego płomyczka w oknach. Tylko Tadeusz do późnej nocy ogląda polską telewizję.



Drogowskaz